

Doug Casey  
John Hunt

**Spekulant**  
**Zasady zobowiązują**

Tłumaczenie  
Jan M. Fijor, Karol Lipiński

Fijor PUBLISHING

## ROZDZIAŁ 1

### NIESPEŁNIONE POSTANOWIENIE (CHWILA GROZY W DŻUNGLI)

**C**harles Knight stał z uniesioną głową na skraju urwiska. Daleko, w dole, wzburzona rzeka Bangu szorowała sobie drogę wzdłuż pradawnego uskoku, jej ryk wznosił się echem po ścianach kanionu wyrzeźbionego przez okres czasu trudny do objęcia ludzkim rozumem. Przyglądał się setkom mil kwadratowych gęstego afrykańskiego buszu.

Mapy geologiczne sprzed dziesięcioleci nie oddawały nic z kolorytu tego kontynentu, jego zapachu, ciężaru powietrza. Na północy wznosiły się strome wzgórza, zwieńczone ciemnozielonym, odpornym na erozję bazaltem – skrzepłą krwią wygasłych wulkanów. Na zachodzie upiorna gromada szarych chmur, nabrzmiąłych od deszczu jak brzuch ciężarnej kobiety, unosiła się ponad horyzontem. Gdy deszcz nadejdzie, lunie potokami, jakich niewielu mieszkańców naszej planety miało okazję zaznać.

Występ skalny, na którym stał Charles, znosił ataki takich ulew przez tysiąclecia. Niewiele zostało z wapienia, który przez cały ten czas niczym klej utrzymywał skałę w całości. Jego 180 funtów było jednak za mocnym obciążeniem. Z dźwiękiem nie głośniejszym od westchnienia niegdyś solidna skała upłynniła się pod jego stopami. Poczul, jak to się stało. Wiedział, co to znaczyło. Grawitacja, której woli sprzeciwiał się zbyt długo, nie chciała dłużej czekać.

Wyciągnął rękę, by chwycić za coś solidnego, ale nic nie znalazł. Smutek z powodu zmarnowanych okazji przytłoczył go bardziej niż strach. Jego dwudziestotrzyletnie życie skończy się nieregularną plamą na poszarpanej brekcji dwieście stóp poniżej. Plamą powstałą po morderczym odbijaniu się od wychodni, które pogruchocą jego ciało po drodze w dół.

Charlesowi Knightowi nie zostało nic, jak tylko umrzeć. Najbliższa osoba, którą to obchodziło, znajdowała się 5000 mil stąd.

\*\*\*

– Więc, czego chcesz od życia, Charles?

Wuj Maurice zapytał chłopca o to, roztaczając przed nim aurę bogatego człowieka, który wie jak funkcjonuje świat. Poza opryskliwym mruknięciem zastępującym powitanie, były to jedyne słowa, jakie wuj Maurice kiedykolwiek wypowiedział do niego. Charles właśnie skończył trzynaście lat i była to zarazem jego pierwsza podróż na wschód, jak i pierwsze spotkanie z wujkiem, tajemniczym i – jak mówiono – groźnym bratem jego matki.

Chłopiec siedział w luksusowym apartamencie wielkiego mężczyzny, wśród oszałamiającego zbioru czasopism finansowych i raportów korporacyjnych, otoczony ścianami pokrytymi książkami. Dostał jedną z wolnych sypialni i dano mu do zrozumienia, że może zostać w niej do końca lata, albo do czasu, gdy zechce wrócić do Montany. Albo do momentu, kiedy wuj Maurice każe mu wyjechać. Wuj Maurice wzbudzał grozę. Miał wielką głowę i Charles wiedział, że jest ona wypełniona rozumem i nasycona wiedzą. Miał też potężne ciało, które – choć obrośnięte sadłem – było pełne serca. Przynajmniej tak mówiła jego matka.

Charles przemieścił się, by usiąść na kanapie, odsuwając na bok porzucane odpadki po niechlujnym stylu życia wuja. Po chwili wahania popatrzył na niego i odpowiedział, choć głos mu drżał z powodu napięcia nerwowego i zmian hormonalnych właściwych wiekowi dojrzewania.

## Spekulant

– Chcę przeżyć dobre życie. Zawahał się znowu, po czym dodał z oczami błyszczącymi z podniecenia:

– I pełne przygód, być może także egzotyczne.

Wuj Maurice podniósł potężne brwi, zaciskając usta zawieszony między potężnymi policzkami. Jego wyraz twarzy zmienił się z chwilowego zaskoczenia w zainteresowanie, teraz przyjrzał się siostrzeńcowi bliżej. Przeszedł od pytania do wyzwania:

– Charles, oczekiwałem mniej od chłopca w twoim wieku. Jestem pod wrażeniem. Tak więc postawię ci pewne zadanie. Zdefiniujesz, dla mnie i dla siebie, na piśmie i to szczegółowo, co dokładnie rozumiesz przez dobre życie – Maurice zatrzymał się na chwilę i podrapał swój okrągły podbródek. – I powiesz mi, co znaczy dla ciebie egzotyczne. Te pojęcia rzadko wymienia się razem, a na pewno nie robią tego ludzie w twoim wieku. Jedno kojarzy się z zakonem, drugie z domem uciech w Bangkoku.

Charles chodził wciąż do szkoły i – chociaż sytuacja ta miała się już wkrótce zmienić – był przyzwyczajony do tego, że nauczyciele zmuszają go do jakiejś otępiającej umysł głupoty, niesłużącej żadnemu użytecznemu celowi – prócz zajmowania czasu. To nie w porządku, pomyślał, że jego własny wuj wymyślił mu zadanie domowe. Były letnie wakacje. Matka zmarła przed trzema tygodniami. Nie przyjechał do Nowego Jorku po to, by pisać wypracowanie dla tego faceta. Przybył tu, bo jego pograżony w żalobie ojciec myślał, że rozłąka będzie dobra dla nich obu.

– Na kiedy? – zapytał Charles tonem źle skrywanego niesmaku. Znając zadania domowe ze szkoły, wyobraził sobie godziny spędzone na wypełnienie kilku kartek papieru konwencjonalnymi myślami, mające zadowolić nauczycielkę, która sama wykonywała swoje obowiązki z musu.

Poznanie miasta od wierzchołka Empire State Building po tunele sieci metra kusilo go o wiele bardziej niż pisanie wypracowań. Tym bardziej okazja odwiedzin Muzeum Historii Naturalnej i poznawanie jego eksponatów w samotności, bez rozpraszających uwagę komentarzy kolegów z klasy. Albo wspinaczka na pochodnię Statui Wolności – bez względu na to czy jest to legalne, czy nie. Jakich przygód musiałby

się wyrzec, by napisać ten bezsensowny esej? W najlepszym razie zmuszony będzie odłożyć lekturę *Hrabiego Monte Christo*, którą upchnął do podróżnego plecaka tamtego ranka, zanim wsiadł do samolotu.

Okazało się jednak, że wuj Maurice nie jest taki jak inni nauczyciele. W jego przypadku właściwsze byłoby określenie: współkonnspirator.

– Charles – powiedział wielki mężczyzna – teraz musisz eksplorować Nowy Jork. Wszystko po kolei. Ta praca nie jest na jutro ani na za tydzień.

Charles odetchnął z ulgą.

– W rzeczy samej – kontynuował wuj Maurice – dopóki sam nie odkryjesz odpowiedzi, nie musisz się nią zajmować. A to może ci zająć lata albo i dekady. Masz więc dużo czasu, by o niej pomyśleć. Wiem, że lubisz książki, mam tu dobrą bibliotekę. Podrzucę ci kilka, by pomóc ci się rozkręcić.

Przez resztę dnia – i resztę życia – umysł Charlesa Knighta wracał do tej wymiany zdań. Może dlatego, że w chwilach emocjonalnego stresu wspomnienia zapadają głęboko w umysł. Może dlatego, że była to pierwsza styczność z mężczyzną, który również kochał jego matkę i który cierpiał z powodu jej odejścia razem z Charlesem. Nie minęło wiele czasu, zanim ten kontakt z wujem rozpałił w nim pragnienie odkrycia tego, co składa się na dobre życie. Do tego życie pełne przygód. I egzotyczne. I coś więcej.

Jaki, w istocie, był cel życia?

\*\*\*

Wuj Maurice zadał mu to zadanie niemal dziesięć lat temu, prawie co do dnia.

Charles Knight zaryzykował spojrzenie w dół, patrząc przez poły prze poczonej koszuli, poza czubki butów wystające spod zabłoconych spodni, próbując znaleźć na niestabilnej, prawie pionowej powierzchni skały, do której desperacko lgnęły jego ręce, jakiś punkt podparcia. Głazy przypominające rozsypane kły zaśmiecały dno kanionu daleko

## Spekulant

w dole. Na klifie utrzymywało go jedynie tarcie. Będzie miał kilka sekund na rozmyślanie nad swoim życiem, spadając w objęcia śmierci.

Szum wody w rzece zagłuszał wszystkie dźwięki oprócz dudnienia krwi płynącej pod skroniami. Zsuwał się dalej, ocierając sobie podbródek i czubek nosa. Grys ze skały chrząścił między jego zaciśniętymi zębami. Znalazł zwisające pnącze, chwycił się go, podejmując morderczy wysiłek, by powstrzymać swój nieuchronny koniec. Niemniej ani ramię, ani pnącze nie mogły utrzymać go zbyt długo.

Ojciec odradzał mu tę podróż, tak jak odradzał kiedyś chudemu, ambitnemu, dwunastoletniemu Charlesowi budowę domku w gałęziach wysokiego podwórkowego dębu. Skutkiem tego przedsięwzięcia była między innymi blizna w okolicy łokcia, lśniąca w jasnym słońcu bielą na tle jego ciemnej opalenizny.

Tata opatrzył mu ranę, zaśmiał się i rzekł:

– Niedaleko pada jabłko od jabłoni.

Tamten tyczkowaty nastolatek wyrósł na atletycznego młodego mężczyznę z niegasnącym błyskiem w swoich zdeterminowanych, choć wesołych i błękitnych oczach. Wyzwanie wuja sprzed dekady stało się osobistą misją, która interesowała go coraz bardziej. Zawsze zakładał, że będzie miał czas, by ją ukończyć.

Teraz jednak, w obliczu upadku – i to, dosłownie, w przepaść, żałował, że jego poszukiwania nie zostaną ukończone. Jego życie okazało się na to za krótkie.

Oczy Charlesa skanowały pokryty nalotem zlepieniec wapienny, kryształy kwarcu i miki przesuwające się pod jego palcami, podczas gdy wolna lewa ręka rozdrapywała skałę. Zerknął w górę ku resztkom półki skalnej, która rozpadła się pod jego ciężarem. Przez spisek grawitacji i padających niedawno deszczy, wychodnia rozpadła się akurat wtedy, gdy kończył zbieranie próbek skał, które teraz ciążyły w kieszeniach jego bojówek.

Próbki reprezentowały złotonośną formację skalną, dokładnie taką jak ta, która przywiodła go do tego kraju. Struktury podpowierzchniowe były tu odsłonięte, obnażając przekrój mineralny całej okolicy. Do



zbierania skał nie był potrzebny żaden drogi sprzęt. Zamiast używać narzędzi, zuchwale ryzykował życiem. Jeszcze dwie minuty temu wydawało się to dobrym pomysłem.

Miał zamiar wspiąć się jedynie o dwadzieścia metrów, o ile w ogóle zdoła się poruszyć. Gdy tak się męczył, pnącze, które miało go podtrzymać, oderwało się od pnia drzewa na wysokości kilku metrów. W chwili, gdy zaczął obsuwać się w otchłań, doznał uczucia dziwnej ulgi. Może nadmiar adrenaliny tak go zrelaksował?

Nie powinien był wybierać właśnie tej ścieżki kariery – pomyślał. Jeden, jedyny korzeń pnąca, któremu udało się wrosnąć w podpowierzchniowe skały, okazał się jednak wystarczająco silny, by powstrzymać go przed bolesnym szarpnięciem. Huśtał się w powietrzu. Nie mógł się ani rozbujać, ani odepchnąć od czegoś trwałego. Do tego złapały go skurcze przedramion.

W porządku, w końcu pojawił się strach. Napiętą przeponą wyrzucił z siebie ryk na cały kosmos.

– Trzymaj się! – zawołał, jakby chcąc zmobilizować korzeń pnąca, wzmocnić swoje ręce, a nawet całą przyrodę. Ryk dodał mu sił i odwagi, ale jedynym tego efektem było echo odbijające się od klifu, cztery stopy od jego nosa.

Pnącze krwawiło przez swą pękającą korę. Było tak samo bliskie śmierci jak on. Przez umysł przemknęła mu myśl o prozaicznej naturze egzystencji. Zastanawiał się co też poczuje, gdy uderzy o skały w dole. Słyszał, że ludzie rozszarpywani przez niedźwiedzie czy tygrysy nie czują żadnego bólu. Może i jemu się uda?

Rozstawać się z życiem w strachu i panice nie miało żadnego sensu. Prymitywne reakcje biologiczne były po prostu zbyt poniżające, by zająć resztę jego żywota; całe dwadzieścia sekund. Przynajmniej niech to życie skończy się przygodą w tak egzotycznym miejscu. Czy przeżył swe życie dobrze? Czy do samego końca było ono dobre? Szkoda, że wuj Maurice nie będzie mógł się nigdy tego dowiedzieć.

I nagle poczuł, że oto wszechświat udzielił mu pozytywnej odpowiedzi. No, bo jeśli nie wszechświat, to kto zesłał mu z nieba ten

## Spekulant

gruby sznur?! Lina uderzyła o skalną półkę powyżej i zawisała z jego lewej strony. Zakrwawione palce Charlesa chwyciły łąpczywie ten cud stworzony przez człowieka. Zwiesił ciężar swego ciała na wilgotnym sznurze właśnie wtedy, gdy pnącze pękło, a jego lewa ręka płonęła od otarcia. Gdy już poczuł się bezpiecznie, wypuścił z dłoni pęknięte pnącze i z uczuciem satysfakcji patrzył jak, falując w powietrzu, opada na skały w dole. Skorygował chwyt, objął sznur kostkami stóp i wdrapał się na szczyt klifu.

– Hej, chłopcze. Co robisz tam na dole?

Charles spojrział w górę w momencie, gdy żyłaste ramiona sięgnęły pod jego pachy i wyciągały go z objęcia śmierci na twardy, płaski grunt. Próbki skał w kieszeniach gniotły go w uda. Wyciągnął się na plecach i gapił w niebo, wzdychając głośno z uczuciem ulgi, zmęczenia i wdzięczności. Pomimo wilgotnego upału dżungli, na jego ciele pojawił się chłodny pot.

– Dzięki za pomoc... – zrobił przerwę z wyczerpania, patrząc na swego zbawcę. – Pan Winn, czyż nie?

Wyglądający na słabeusza mężczyzna nosił małe okulary balansujące na jego nosie poniżej linii oczu. Kapelusz polowy o szerokim rondzie opadał głęboko na jego uszy, spod nakrycia głowy wystawały długie pasma siwych włosów. Na ogorzałej twarzy mężczyzny i w oczach – równie niebieskich jak u Charlesa – pojawił się łagodny uśmiech. Ten przygarbiony, lekko utykający i jak się wydawało poraniony stary Holender nazywał się Xander Winn.

Charles unikał dotąd tego człowieka i to z powodów, których sam dobrze nie rozumiał. Było w nim bowiem coś, co zdaniem młodzieńca nie miało sensu.

Winn wskazał w górę, na miejsce między kołem zapasowym Caterpillara a sprzętem górniczym, gdzie przywiązany był sznur.

– Jeśli chciałeś eksplorować kanion, trzeba było poprosić o sznur, a nie udawać Tarzana – zachichotał.

Serce Charlesa biło w tempie wyścigowym, w klatce piersiowej czuł dudnienie, ramiona obciążone przesiąkniętym od potu ubranie



## Doug Case, John Hunt

bolały niemiłosiernie. Był cały pokryty obtarciami, siniakami i krwią. Jeszcze minutę temu był krok od śmierci, tymczasem ten dziwny człowiek stroił sobie z niego żarty. Trzeba to uszanować – pomyślał. Może jednak Winn jest w porządku?

– Powinniśmy wrócić do sedna – Winn dotknął jego stóp swoją trzcina.

Charles rozkoszował się ciężkim powietrzem oblepiającym jego ciało i nieodpartą radością z przeżycia kolejnego dnia. Mógł kontynuować misję wuja Maurice'a. Będzie pamiętał, że dzięki ludziom takim, jak zgarbiony Holender i jego sznur, każda minuta życia jest skarbem. To, co go właśnie spotkało, to był prawdziwy cud.